

GORNICZ CZESŁAWA z domu Snieżek, córka Stanisława i Bronisławy urodzona 5 IV 1931 w Borysławiu.

Zamieszkała: Borysław ul. Cerkiewna - wspomina:

Tato mój pracował w Państwowej Policji w Borysławiu. W dniu 13 XI 1939r do naszego mieszkania przyszło trzech cywili. Rozkazali, aby ojciec ubrać się i z nim wyszli.

Mama chodziła do urzędu NKWD w Borysławiu, pytała o ojca. Powiedzieli jej, że tato jest w więzieniu w Borysławiu. Później przebywał w więzieniu w Drohobyczu.

W styczniu 1940r otrzymaliśmy list od taty z Ostaszkowa i na tym korespondencja się urwała.

W pierwszych dniach kwietnia wysiedlono nas z mieszkania. Wujek Aleksander Furtak, przyjął nas do swojego mieszkania w Borysławiu przy ul. Zielonej.

W dniu 13 IV 1940r /niedziela/ w godzinach rannych aresztowano sąsiadkę Lenartowicz z czwórką dzieci. Po nas przyjechali samochodem ciężarowym w godzinach popołudniowych.

Powiedzieli, że wywożą nas tylko czterdzieści kilometrów, więc nie ma potrzeby zabierać dużo rzeczy.

Mama jednak wzięła: pierzynę, poduszkę, kilka sztuk bielizny osobistej, sukienki. Wszystko zmieściło się w małej walizce.

Wyszliśmy z mieszkania wujka:

|            |         |    |           |                        |
|------------|---------|----|-----------|------------------------|
| Bronisława | Snieżek | ur | 2 IX 1906 | matka                  |
| Janina     | "       | ur | 5 IV 1931 | córka Stanisława i Br. |
| Czesława   | "       | ur | 5 IV 1931 | " "                    |

/siostry bliźniaczki/ autorka wspomnień.

Wsiadliśmy do czekającego samochodu ciężarowego, którym odjechaliśmy wprost na dworzec kolejowy w Borysławiu. Na stacji

stał pociąg towarowy. Do jednego z wagonów nas wepchnęli. W wagonie były prycze piętrowe, w tak bliskich odstępach, że dorosła osoba nie mogła siedzieć na pryczy wyprostowana, tylko skulona. Okienka małe zakratowane, drzwi zamknęli od zewnątrz. W kącie wagonu dziura w podłodze jako ubikacja.

Myślę, że w wagonie było około sześćdziesiąt osób, z tym my z siostrą byliśmy najmłodsze.

Następnego dnia wcześniej rano strażnik otworzył drzwi wagonu i wujek podał nam: szynkę, chleb, mleko, oraz zimowe płaszcze. Strażnik zaraz wagon zamknął.

Z Borysławia wyjechaliśmy w poniedziałek rano. W czasie podróży jeden raz dziennie na postoju pociągu ze stacji przynoszono nam posiłek. Z wagonu strażnik zabierał dwie osoby, które przynosiły w wiadrze zupę rybną, małe kawałki chleba i gorącą wodę do picia. Zupę jedliśmy w tym, co kto miał z sobą. Tak jechaliśmy trzynaście dni.

Na stacji Kustonaj rozkazano nam wysiąść. Czekaliśmy na dworcu kolejowym. Samochodami ciężarowymi odwożono po sześć rodzin do wioski Embek.

Zamieszkaliśmy u Kazacha. Przyjęli nas dobrze. Poczęstowali herbata, plackiem pieczonym na patelni. Spałyśmy na klepisku.

Następnego dnia Kazachowie opuścili lepiankę, wyszli ze stadem owiec w step.

Zostało nas w lepiance dwanaście osób, sami Polacy. Gotowaliśmy zupę we wspólnym kotle. Każdy dał od siebie jakiś produkt. Mama, za prześcieradło dostała mąkę i to był nasz wkład do wspólnego kotła.

Następnego dnia rano, mama poszła do pracy w kołchozie. Jeździła bykami. Pracowała od rana do zmroku. W pracy w stepie, otrzymywała porcję zupy i nic więcej. Wymieniała rzeczy za żywność i w ten sposób utrzymywałyśmy się przy życiu.

Zaraz po przyjeździe na zesłanie, mama napisała do wujka. Przysyłał nam co miesiąc paczkę: mąkę, makaron, cukier, prześcieradło. Paczki żywnościowe i sukienki, przysyłał nam także.



ksiądz proboszcz z parafii w Borysławiu/nazwiska nie pamiętam/. Wujek Bronisław Wał z Bitkowa, przysyłał nam również paczki. Była to dla nas wielka pomoc, ale paczki otrzymywaaliśmy tylko przez jeden rok.

Z zesłania, mama pisała listy do taty do Ostaszkowa. Wysłała nawet trzydzieści rubli, które wzięła z domu. Nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Zapytała miejscowego gospodarza, dlaczego nie ma odpowiedzi na listy, ani potwierdzenia, że otrzymał pieniądze.

Człowiek ten poradził mamie, aby nie wysyłała listu, tylko miejscową widokówkę. Mama posłuchała rady. Wysłała więc widokówkę, która wróciła do nas z adnotacją: "był, ale wybył". /rok 1940 maj lub czerwiec/.

Siostra bardzo cierpiała na ból głowy. Mama zauważyła u niej w skórze we włosach przyssanego kleszcza. Pomocy udzielił Kozak<sup>th</sup>. Wyrwał kleszcza, ale rana ropiała długo.

W jesieni 1940r bez zezwolenia, grupa Polaków /kilka osób/ wyjechało samochodem ciężarowym /okazyjnym/ do wioski Wesoły Padoł, odległej o dwanaście kilometrów. W opuszczonej lepiance zamieszkałyśmy w trzy rodziny.

Dorośli poszli do pracy w cegielni. Mama pracowała przy wypalaniu cegieł. Nie pamiętam ile zarabiała. Siostra i ja w tym czasie byliśmy w lepiance.

W 1941r z siostrą poszłyśmy do rosyjskiej szkoły. Pisałyśmy na zniszczonych książeczkach w wolnych miejscach, między wierszami. Książek do nauki również nie miałyśmy. Po dwóch miesiącach, gdy spadł śnieg, przestałyśmy chodzić do szkoły. Nie miałyśmy butów.

W 1941r mamę wzięli do pracy przy wyrębie lasu. Samochodem ciężarowym wozili pracowników do lasu, gdzie przebywali cały tydzień. Spali w szałasach. Całą noc grupa osób paliła ognisko, bowiem w lesie były wilki.

Pracownicy sami gotowali sobie w lesie zupę, z przydzielonych produktów.

W tym czasie, gdy mama pracowała w lesie, my z siostrą

byłyśmy w lepiance z panią Lenartowicz. Ona chorowała, z tego powodu nie wychodziła do pracy. Z mamą widziałyśmy się tylko raz w tygodniu, kiedy przywozili pracowników do wioski na jeden dzień.

Siostra i ja również pracowałyśmy, ale dorywczo. Pomagałam Rosjance przy pasieniu bydła, przyprowadzałam jej dzieci z przedszkola do domu. W zamian za pracę dawała nam mleko, jarzyny z ogrodu. Czasem z litości dała otrąb z prosa lub pszenicy. Do otrąb dodawałyśmy pokrzywę i piekłyśmy placki. Zbierałyśmy dziką cebulę, szczaw, z tego gotowałyśmy zupę. Jeśli Rosjanka dała nam buraka czerwonego z liśćmi, to zupa była znacznie lepsza, gęsta.

W 1942r pracowałam w polu przy orce. Poganiałam byki za pługiem, lub broną. Jak wyrobiło się normę, to dostawałam do swojej miseczki czerpak mleka i czasem dziesięć dekagramów chleba. W południe kluski gotowane na wodzie. Kolacji nie było. Pracowałyśmy od świtu do zmroku. Nocowałyśmy w polu. Ja miałam siennik z worka wypchany słomą i na nim spałam pod wozem. Wszyscy pracownicy spali w polu, okrywali się czym kto miał.

W czasie pracy na polu wytrzępywałam z ubrania wszy. Na chwilę przynosiło to ulgę. Po tylu latach, ale nie chcę o tym wspominać - robi mi się niedobrze.

W polu znalazłam kilka małych ziemniaków. Wieczorem postanowiłam uciec do mamy. Wzięłam swój siennik, miseczkę, a w tkumoczku ukryte ziemniaki. Zobaczył mnie dozorca. Skontrolował moje rzeczy, zabronił iść do mamy. Ja i tak poszłam.

Później pracowałam przy plewieniu zboża. Przydzielono nam pas pola szerokości dwa metry i długości dwanaście kilometrów. W ciągu dnia pracy trzeba było wybierać oset z trzech takich pasów. Ja tylko przed południem zrobiłam jeden pas i po południu drugi. Wyrwać oset z korzeniami, to bardzo ciężka praca. Miałam wtedy jedenaście lat.

Zauważyłam, że Rosjanki oszukiwały. Zrywały tylko czubki ostu, aby nie wystawał ponad zboże. Dlatego swoją normę zawsze



wykonały i to znacznie szybciej od nas Polek. W czasie tej pracy dostawałyśmy jeden raz dziennie miseczkę klusek na wodzie.

Na wiosnę w 1943r mamę zatrudnili w kołchozie. Pracowała w polu, przy sianokosach, zbiorze zboża.

W okresie żniw, mama wróciła z pracy chora. Zgłosiła się do lekarza. Stwierdził żółtaczkę. Dał zwolnienie lekarskie. Leków żadnych. Przez trzy miesiące leżała w lepiance. Była bardzo chora, słaba. My z siostrą bezradne, przerażone. Nacieraliśmy mamie ręce i nogi. Nic więcej nie mogliśmy zrobić.

Siostra poszła do pracy w polu. Ja byłam z mamą. Po trzech tygodniach siostra rozchorowała się na malarię. Leków żadnych nie otrzymała. Leżała w lepiance.

Rok 1943 był dla nas bardzo trudny. Wybuchła epidemia dyfterytu. Ja zachorowałam. Miałam wysoką gorączkę, nic nie słyszałam. Leżałam w lepiance na piecu. W tym czasie chora leżała również córka naszej gospodyni. Leków żadnych nikt nam nie dał.

W okresie kiedy ja chorowałam mieszkaliśmy z mamą i siostrą u innej gospodyni /nazwiska jej nie pamiętam/. Miałysmy dla siebie jedną izbę. Była to rodzina wierząca. Modlili się przed każdym posiłkiem. W tym mieszkaniu na ścianie mieli święty obraz.

Za mieszkanie nie miałyśmy czym płacić. Robiłyśmy więc dla gospodyni "kiziaki", nosiłyśmy wodę.

Kiedy wróciłam do zdrowia, robiłyśmy z siostrą na drutach skarpety, rękawice, sweterki, chustki. Wieczór robiłyśmy przy kaganku. Mama oddawała te rzeczy w zakładzie, który zlecał pracę. Otrzymywała jakąś zapłatę, ale ile - tego nie pamiętam. Na liście płacy, zapisana była mama, a nie my.

Pamiętam, że dorosłych Polaków wzywali do Urycka by przyjęli obywatelstwo radzieckie. Wikt ze znajomych mi Polaków nie wyraził zgody na przyjęcie obywatelstwa radzieckiego.

W stepie rosła trzcina. Po spaleniu jej popiół zalewało się wodą, a następnego dnia w tej wodzie /ługu/ mama prała naszą zniszczoną bieliznę. Myłyśmy się w samej wodzie bez mydła.

Kapałyśmy się w łaźni parowej i tam dezynfekowała się nasza bielizna, ubranie.

Na wiosnę 1944r dostałyśmy małą działkę. Na przyszkolnym śmietniku nazbierałam łupin z ziemniaków. Łupiny te posadziłyśmy na działce. Wyrosły bardzo ładne ziemniaki. Z pól zbierałyśmy kłosa tak, aby strażnik nie widział. Było to zabronione. Jeśli udało się nazbierać więcej kłosów, to wykruszone ziarno mekłyśmy w żarnach w mieszkaniu u Rosjanki.

Głód cierpieliśmy bardzo nie tylko my zesłańcy, ale i miejscowa ludność. Pamiętam, Rosjanin w czasie pracy miał głośną perystaltykę. Był głodny tak, jak my. Powiedział wówczas/do swojego brzucha/: "burcz sobie burcz, ja ci i tak jeść nie dam".

Moja kolejna praca w jesieni 1944r, to zwózka zboża. Bykami wozikam ziarno do magazynu, który był w cerkwi w Wesołym Padole.

Nam Polakom z darów amerykańskich gotowano zupę w stołówce w Wesołym Padole. W jakim było to czasie, trudno mi określić.

W kwietniu 1946r dużą grupę Polaków odwieźli bykami do Urycka. Odległość trzydzieści kilometrów. Na drogę znajome Rosjanki dały nam chleba, masła. Dawniej, my robiłyśmy dla nich na drutach sweterki.

Z Urycka wyjechaliśmy samochodami ciężarowymi do Kustonaja. Zamieszkaliśmy w dużym baraku - klubie, przez dwa lub trzy tygodnie. Chodziliśmy do stołówki na obiady.

Otrzymałyśmy materiał z którego mama uszyła nam sukienki. Sama wracała w spódnicy z darów amerykańskich.

Następnie /daty nie pamiętam/ zakadowana nas również do wagonów towarowych, ale tym razem nie było tak ciasno. W czasie drogi na postojach pociągu, przynosili nam posiłki. Zupę, chleb.

Z nami w wagonie jechał chory chłopiec na malarię. Przed przekroczeniem granicy w Brześciu nad Bugiem, zaprowadzili nas do łaźni, a ubrania nasze oddali do dezynfekcji.

Do Polski przyjechaliśmy 30 V 1946r. Pojechaliśmy do  
stryjenki do Lubania Śląskiego.

Za zgodność *Czesława Górnic*  
Czesława Górnic  
ul Dłuskiego 20/4  
58-309 Wałbrzych

Wałbrzych dnia, 29 VI 1991r

Wspomnienia spisała  
*Czesława Tarnawska*  
Czesława Tarnawska





16x1191

ARCHIWUM HISTORICUM

ALINA GORSKA z domu RYTELEWSKA córka Aleksandra i Antoniny urodzona 31 VII 1934r Maków Mazowiecki - Bazar, województwo warszawskie.

W chwili deportacji zamieszkała: Zawary koło Łomży wspomina:

Ojciec mój był Oficerem Wojska Polskiego Trzynastego Pułku Piechoty w Pułtusku. Mieszkaliśmy w koszarach wojskowych.

We wrześniu 1939r musieliśmy opuścić koszary. Od tej pory z mamą i bratem zamieszkaliśmy u rodziny ojca, we wsi Zawary koło Łomży.

W krótkim czasie mama zapisała się na wyjazd do Warszawy na tak zwany transport wymienny pomiędzy Rosjanami, a Generalną Gubernią. Pierwszy transport zapisanych osób wyjechał. Prawdopodobnie dotarł do Warszawy. My byliśmy wyznaczeni do drugiego.

Nie pamiętam daty, ale myślę, że była to późna jesień 1939r. Tak będą się łączyć następujące po sobie <sup>wy</sup>darzenia.

Zbudziła mnie rozmowa. W mieszkaniu zobaczyłam dwóch rosyjskich żołnierzy z karabinami. Słyszałam jak popędzali, aby się szybko ubrać, bo wywożą nas do Warszawy. Mama ubrała brata i mnie. Nie pamiętam co wzięła z sobą. W mieszkaniu była służąca, ale ona nie była zapisana na wyjazd. Rosjanie o nią nie pytali.

Mama ubrała się w futro fokowe i wyszliśmy z domu:

|            |          |    |      |   |
|------------|----------|----|------|---|
| Rytelewska | Antonina | ur | 1908 | - matka                                       |
| "          | Alina    | ur | 1934 | córka Aleksandra i Antoniny autorka wspomnień |
| "          | Andrzej  | ur | 1937 | syn Aleksandra i Antoniny                     |

Przed domem stała bryczka, do której wsiedliśmy. Żołnierze zawieźli nas wprost na dworzec kolejowy /nazwy stacji nie pamiętam.

DANES PICTA .COM

K

Y

M

C

Grey Scale #13

B

G

R

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



16x1191

© ARCHIWUM WSPOMNIENIE

ALINA GORSKA z domu RYTELEWSKA córka Aleksandra i Antoniny urodzona 31 VII 1934r Maków Mazowiecki - Bazar, województwo warszawskie.

W chwili deportacji zamieszkała: Zawary koło Łomży wspomina:

Ojciec mój był Oficerem Wojska Polskiego Trzynastego Pułku Piechoty w Pułtusku. Mieszkaliśmy w koszarach wojskowych.

We wrześniu 1939r musieliśmy opuścić koszary. Od tej pory z mamą i bratem zamieszkaliśmy u rodziny ojca, we wsi Zawary koło Łomży.

W krótkim czasie mama zapisała się na wyjazd do Warszawy na tak zwany transport wymienny pomiędzy Rosjanami, a Generalną Gubernią. Pierwszy transport zapisanych osób wyjechał. Prawdopodobnie dotarł do Warszawy. My byliśmy wyznaczeni do drugiego.

Nie pamiętam daty, ale myślę, że była to późna jesień 1939r. Tak będą się łączyć następujące po sobie <sup>wy</sup>darzenia.

Zbudziła mnie rozmowa. W mieszkaniu zobaczyłam dwóch rosyjskich żołnierzy z karabinami. Słyszałam jak popędzali, aby się szybko ubrać, bo wywożą nas do Warszawy. Mama ubrała brata i mnie. Nie pamiętam co wzięła z sobą. W mieszkaniu była służąca, ale ona nie była zapisana na wyjazd. Rosjanie o nią nie pytali.

Mama ubrała się w futro fokowe i wyszliśmy z domu:

|            |          |    |        |   |
|------------|----------|----|--------|---|
| Rytelewska | Antonina | ur | 1908 - | <i>matka</i>                                  |
| "          | Alina    | ur | 1934   | córka Aleksandra i Antoniny autorka wspomnień |
| "          | Andrzej  | ur | 1937   | syn Aleksandra i Antoniny                     |

Przed domem stała bryczka, do której wsiedliśmy. Żołnierze zawieźli nas wprost na dworzec kolejowy /nazwy stacji nie pamię-

tam/.

Gdy jechaliśmy na dworzec było tak zimno, że ludzie z drogi podali nam chustkę wełnianą w kolorową kratę. Myśmy tą chustką się otulili.

Na dworcu kolejowym wprowadzili nas do wagonów towarowych. Drzwi zamknęli od zewnątrz. W wagonie były prycze piętrowe, wszystkie zajęte, a ludzie jeszcze leżeli i siedzieli na ~~podłozie~~ podłodze. Wolne było tylko przejście przez środek. W kącie wagonu - dziura w podłodze jako ubikacja.

Z usłyszaney rozmowy pamiętam, że w wagonie były rodziny wojskowych i żydowskie.

Nie umię określić jak długo czekaliśmy na dworcu, ani kiedy pociąg odjechał. Gdy minęliśmy Brześć, wszyscy wiedzieliśmy, że nie jedziemy do Warszawy, a na Sybir.

W czasie podróży na postojach pociągu, wrzucali nam do wagonu "cegiełki" chleba. Pamiętam, wodę do picia wciągali przez małe okienko w wagonie.

Nie wiem po ilu dniach podróży dojechaliśmy do Archangielska. Następnie przewieźli nas w pobliże rzeki Dwiny. Zamieszkaliśmy w baraku. Barak, to budynek zbudowany z drzew okrągłaków. Przestrzeń pomiędzy belkami utkana mchem. Małe okienka. Piec blaszany do ogrzewania pomieszczenia.

Spaliśmy na klepisku, na słomie, pod ścianami. Wzdłuż baraku było przejście. Byliśmy już zawszeni, a tu dopadły nas pluskwy.

Następnego dnia dorośli poszli do pracy. Mama otrzymała walonki i wysokie buty smarowane dziegciem. Z innymi kobietami i mężczyznami na bagnach udeptywali drogę. Później drogę tę polewali wodą, która natychmiast zamarzała. Wówczas po tej drodze z lasu końmi wyciągano ścięte drzewo i zwozili je do rzeki.

W tym czasie, gdy mama pracowała, ja z braciszkiem byliśmy w baraku.

W czasie pracy mama się przeziębila. Miała wysoką gorączkę. Brat również w tym czasie był chory. Państwo Kowalewscy odwieźli



mamę i brata do szpitala w Archangielsku.

Wiem z opowiadań, że państwo Kowalewscy po kilku dniach zostali zawiadomieni przez komendanta obozu o śmierci mamy. Pojechali do szpitala w Archangielsku.

Opowiadała mi Pani Kowalewska, że gdy weszli do pomieszczenia, gdzie na łóżku leżała mama przykryta prześcieradłem, to jej nie zauważyli. Myśleli, że łóżko jest puste. Mama była tak chuda.

Pochowali mamę w skrzyni z desek na cmentarzu w Archangielsku. Pomagał im Polak, ale jego nazwiska nie znam. Grób wykopali płytko, bo ziemia była zamrznięta.

Państwo Kowalewscy wrócili z bratem. Zostaliśmy sami. Siedzieliśmy w baraku przy blaszanym piecu, otuleni chustką. Od pieca chustka się zapaliła. Po tym wydarzeniu, reakcja była taka, że Rosjanie chcieli nas oddać do domu dziecka.

Polacy na zebraniu między sobą uzgodnili, że państwo Kowalewscy wezmą mnie na wychowanie. Pan Kowalewski wpisał mnie do swojego dokumentu.

Brata wzięło młode małżeństwo. Brat miał trzy lata. W nocy się zanieczyścił. Z tego powodu po kilku dniach oddali brata starszej kobiecie. Nazwiska tej pani nie znałam. Wiem, że później wyjechała z bratem na Ukrainę.

Pan Kowalewski pracował w kuźni. Robił motyki, naprawiał narzędzia rolnicze. Zarabiał mleko, masło. Pani Kowalewska szyła na maszynie dla Rosjanek. W okresie lata pracowała w gospodarstwie rolnym. Chodziłam do p. Kowalewskiej do pracy. Wynosiłam ziemniaki, kapustę. W ten sposób mieliśmy znośne warunki do życia.

Głód był taki, że Polacy wyciągnęli zdechłego, zakopanego konia, ugotowali i zjedli.

Jeżeli Polak nie podporządkował się, według strażnika zawinił, to Polaka stawiali pod ścianą baraku, twarzą do ściany, z rękami do góry i straszili, że będą strzelać. Żyliśmy w ciągłym napięciu.

Państwo Kowalewscy często zmieniali miejsce zamieszkania, ale w tym samym rejonie. W takim małym posiołu mówili nam Rosjanie, że był tutaj obóz polskich więźniów, którzy uciekli, a teraz ci więźniowie mordują ludzi.

Pan Kowalewski został powołany do wojska, do armii im. Tadeusza Kościuszki. Zostałyśmy same. W tym czasie pani Kowalewska przywoziła z Archangielska dary amerykańskie i rozdelała Polakom. Miałyśmy dodatkową pomoc. Nie wiedziałyśmy o zagrażającym nam niebezpieczeństwie.

Żona naczelnika NKWD powiadomiła nas wieczorem, że p. Kowalewska będzie aresztowana. Po tej informacji z kilkuosobową grupą Polek i Polaków, w nocy uciekliśmy. Płynęliśmy tratwą /nazwy rzeki nie pamiętam/. Dla mnie było to wielkie przeżycie, tym bardziej, że w czasie ucieczki na tratwie rodziła kobieta. Dziecko zaraz po urodzeniu zmarło.

Nie wiem gdzie wysiadłyśmy z tratwy. Wiem, że jechałyśmy jeszcze pociągami, samochodami ciężarowymi. Na trasie przyłączyłyśmy się do grupy polskich dzieci z którymi jechała pani Siekierska. Nie wiem jak długo trwała nasza podróż.

Gdy przyjechaliśmy do Stawropola był piękny słoneczny dzień. Duży murowany budynek dwu lub trzypiętrowy, to budynek Polskiego Domu Dziecka. Był jeszcze mały budynek, dla dzieci rosyjskich.

Najpierw myśmy się przywitali, a wieczorem pomiędzy nami wybuchła bójka. Nie wiem kto rozpoczął. Leciały cegły z obydwóch stron. Byli zranieni. Lekarz robił nam opatrunki.

W sali mieszkało czternaście dziewczynek. Spałyśmy na żelaznych łózkach, na zniszczonych materacach. Do przykrycia się miałyśmy koce. W nocy po pokoju chodziły szczury. Tłukłyśmy deskami, aby je odstraszyć.

Wyżywienie miałyśmy trzy razy dziennie, przeważnie kasza jaglana i zupa z soi z robakami. Jadłyśmy w talerzach aluminiowych.

Pani Kowalewska pracowała w kuchni. Chodziłam do niej, bo zawsze miała dla mnie coś do zjedzenia.



Po pracy p. Kowalewska robiła na drutach sweterki. Zarabiała w ten sposób pieniądze, lub żywność. Wówczas i ja nauczyłam się robić na drutach.

Wyżywienie w domu dziecka było skromne, byłam ciągle głodna. Chciałam zachorować i leżeć w izolatce. W izolatce otrzymywało się większe i lepsze porcje.

W wolnych chwilach od zajęć szkolnych chodziłyśmy do pracy w kołchozie. Sadziłyśmy fasolę. Wszystkie w pracy jadłyśmy surową fasolę, a później chorowały.

Z głodu chodziłyśmy kraść groch, który chowałam pod podszewkę płaszcza. Płaszcz miałam z darów, długi do kostek.

W kołchozie kradłyśmy dynię, piekłyśmy na ognisku i jadły. Pilnujący upraw, strzelali do nas nabojami z soli. Mnie trafił w nogę - jest to bardzo bolesne.

W domu dziecka oświetlenie mieliśmy prymitywne. Puszka po konserwie, wypełniona ropą i knot. W czasie kiedy się świeciło, wydzielał się nieprzyjemny zapach. Mnie było duszno, źle się czułam. Zbadał mnie lekarz i stwierdził, że jestem chora na serce. Zrobił mi zastrzyk, po którym przez kilka dni nie mogłam chodzić, tak bolała mnie noga.

Dyrektorką Domu Dziecka była Rosjanka. Ona zawiadomiła nas, że zakończyła się wojna. W tym dniu miałyśmy dobre wyżywienie, a na deser otrzymałyśmy cukierki czekoladowe.

Dyrektorka załatwiła również formalności związane z wyjazdem do Polski.

Wyjechaliśmy samochodami ciężarowymi po lodzie, po rzece. Wydawało się nam, że lód trzeszczał. Dzieci było około dwieście, oraz nasi wychowawcy.

Na drogę otrzymaliśmy suchy prowiant z darów amerykańskich. Wracaliśmy w wagonach osobowych z miejscami do leżenia.

W Moskwie, gdy pociąg stał na boczniczy, wyszedł ktoś z wagonu i poszedł po wodę. Nabrał wody z pobliskiego rowu. Z tej wody zgotowano nam kakao. Po chwili ktoś inny poszedł po wodę do tego rowu, ale wrócił bez wody. Był więcej spostrzegawczy,

zauważył, że w rowie są ludzkie zwłoki.

Na granicy w Brześciu, mnie ukryto między workami dlatego, że nie miałam dokumentów.

W Warszawie część osób wysiadła. Nie pamiętam kto zawiadomił moją babcię oraz ciocię.

Przyszły po mnie dwie panie. Nie poznałam ich. One, poznały mnie. Ubrana byłam w szary płaszcz do kostek, /płaszcz z darów/ walonki, kalosze. Na sobie miałam piżamę, "drapiącą" bluzeczkę i spódniczkę.

Na widok babci i cioci zmartwiłam się. Jedna z nich miała buty bez pięt. Pomyślałam: "one też mają biedę, nie mają nawet całych butów".

Stopniowo oswajałam się z innymi warunkami życia. W pierwszych dniach brakowało mi blin i pieczonej dyni.

Brat mój wrócił w marcu 1946r ze starszą Panią do Warszawy i u niej mieszkał.

Ciocia leżała w szpitalu. W rozmowie z pielęgniarką dowiedziała się, że jej mama wróciła z Sybiru i przywiozła z sobą chłopca - syna wojskowego. Ciocia natychmiast pojechała po brata. Brat pamiętał swoje nazwisko, przy tym był bardzo podobny do ojca. Nie było trudności z rozpoznaniem.

Ja wróciłam do Polski w kwietniu 1946r. Od tej pory wychowywaliśmy się u siostry naszej mamę - cioci Julii Bieńkowskiej.

Pan Kowalewski wrócił z wojny. Odwiedzaliśmy się wzajemnie. Im urodziła się córeczka, co było wielką radością dla naszych rodzin. Odwiedzałam ich również z mężem i swoimi dziećmi. Okazywałam wdzięczność za opiekę w trudnym okresie mego dzieciństwa. Tak było aż do chwili, kiedy od p. Kowalewskiej doznałam wielkiej przykrości. Kontakty z nimi zerwałam.

Tato mój zginął w Oświęcimiu w 1942r. Brat zginął tragicznie w 1975r.

Za zgodność: *M. Górska*

Alina Rytelawska-Górska  
01-779 Warszawa  
ul Krasińskiego 38m43

Warszawa 17 VII 1991r

*Czesława Tarnawska*  
Wspomnienia spisała  
Czesława Tarnawska